

Doktorat nie powinien być rozszerzonym w rozmiarach magisterium

Rozmowa
z prof. dr hab. Danutą Opacką-Walasek

Postscriptum: *Podczas tegorocznego Zjazdu Polonistów sporo miejsca poświęcono organizacji studiów doktoranckich. Jak podsumowałaby Pani Profesor poglądy zaprezentowane przez uczestników Zjazdu na cele i wyzwania, które stoją przed osobami odpowiedzialnymi za ten etap kształcenia?*

Danuta Opacka-Walasek: Istotnie, zagadnienie studiów doktoranckich stało się przedmiotem osobnego, ważnego panelu podczas Zjazdu Polonistów, którego problematyka: „konceptje – rewizje – przemiany” w oczywisty sposób musiała być nakierowana także na dyskusję nad studiami trzeciego stopnia. Środowisko akademickie – a w każdym razie jego znaczna, odpowiedzialna część – ma świadomość rangi tego etapu kształcenia i rozwoju młodej kadry, tak dla przyszłości nauki w ogóle (co nie dla wszystkich brzmi abstrakcyjnie), jak dla konkretnych, indywidualnych losów uzdolnionych polonistów, dla których najczęściej jedyną szansą na rozwój naukowy, a także na perspektywę zatrudnienia w uczelni wyższej jest sfinalizowanie studiów doktoranckich i uzyskanie tą drogą stopnia doktora. Wobec przemian bolońskich, jakie objęły wszystkie etapy kształcenia akademickiego, studia doktoranckie są teraz absolutnie zasadniczym etapem formującym młodego badacza, a tym samym stanowiącym nie tyle nawet podstawowe zaplecze, co główny obszar decydujący w znacznej mierze o postaci i rozwoju nauki w następnych dziesięcioleciach. To sprawa nieprzecenionej wagi, zwłaszcza gdy idzie o filologię narodową, a taką wszak jest polonistyka. I nie o fałszywy patos tu chodzi, ale o uświadomienie, jak istotny jest i będzie wkład w jej przyszły kształt tego najmłodszego, doktoranckiego dziś pokolenia naukowców.

Ponieważ wszyscy doświadczamy przemian, nie zawsze dobrych, niestety, które obejmują w ramach słynnych już „parametryzacji”, „biurokratyzacji”, „walidacji”, „ugrantowienia” itd. tak charakter naszych poczynań badawczych (choćby w doborze wiodących tematów i możliwości pozyskiwania środków na ich realizację), jak miewamy poczucie rozmywania się granic dyscyplin (aż po wrażenie utraty ich tożsamości), jest sprawą ogromnie istotną, aby właśnie podczas studiów doktoranckich nie tylko wyposażyć w wiedzę metodologiczną i sprawności niezbędne do zrealizowania dysertacji, ale by wykształcić – czy ukształtować – pożądaną model naukowych postaw u ludzi, którzy niebawem będą zasadniczą, rozwojową kadrą akademicką. Model pożądaną to nie znaczy oczywiście: wyłącznie „dzisiejszy”, w rozumieniu czysto pragmatycznego przygotowania uczestników studiów doktoranckich do umiejętności „znalezienia się” w modnych trendach badawczych i nakierowaniu twórczej energii na sprawne wynajdowanie efektywnych tematów w ramach interdyscyplinarności czy umiędzynarodowienia, na które równie sprawnie będą umieli zdobyć finanse i rozliczyć je po zakończonym projekcie, choćby kusił on jeszcze drażnieniem i pogłębianiem badań. Pożądaną model musi – w przekonaniu większości środowiska – opierać się na poszanowaniu ciągłości tradycji, tak w zakresie przedmiotu badań w ramach dyscyplin (także wtedy, gdy owe badania mają zakres interdyscyplinarny), jak prawdziwie rzetelnego, pełnego odpowiedzialności i powagi stosunku do powinności badacza i rozumienia szeroko pojmowanej uniwersyteckości.

Jest sprawą oczywistą, że wobec upowszechnienia studiów doktoranckich, które są coraz mniej elitarne, stały się kolejnym szczeblem edukacji akademickiej (na naszym na przykład Wydziale Filologicznym kształcą obecnie trzystu trzydziestu doktorantów), nie wszyscy ich uczestnicy – a zgoła niewielu zapewne – trwale zwiążą swoje drogi życiowe z nauką. To dobrze, że coraz więcej ludzi ma dostęp do studiów trzeciego stopnia, wzrasta tym samym, oczywiście, poziom rozwoju intelektualnego i przyboru wiedzy w skali globalnej, społecznej. Trzeba zarazem brać pod uwagę, że w formule tychże studiów musi się znaleźć miejsce nie tylko na kształtowanie postaw i umiejętności *stricte* naukowych, związanych badawczo z dyscyplinami, ale i tzw. pozadziedzinowych, formujących m.in. sprawności takie, jak umiejętność zarządzania projektem, umiejętność pracy w zespole i kierowania nim, umiejętność prezentowania wyników badań. Trzeba wspierać i rozwijać aktywność społeczną doktorantów, włączając ich do realizacji przedsięwzięć pozaprogramowych, organizacyjnych i naukowych – do kół naukowych,

uczelnianych organizacji, do współtworzenia zespołów konferencyjnych czy też powoływanych na potrzeby wydarzeń kulturotwórczych, wychodzących poza granice uniwersytetu. Rzecz oczywista, że tego rodzaju ukierunkowywanie profilu doktoranta musi się spotykać z dowartościowywaniem działalności tak naukowej, jak społecznej – poprzez nagrody, stypendia, wyróżnienia.

Ukonkretniając odpowiedź na pytanie o poglądy uczestników dyskusji podczas Zjazdu Polonistów co do celów i wyzwań stojących przed ludźmi odpowiedzialnymi za etap studiów doktoranckich, powiem, że oscylowały one głównie wokół postawionego już dawno, w tytule konferencji na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, pytania: „Doktorant – uczeń czy uczony?” I zmierzały do wyważenia proporcji w kierunku „uczonoego”, który wprawdzie jednak musi przejść etap uczenia, by nauczyć się, jak być badaczem, człowiekiem uniwersytetu, nawet jeśli będzie funkcjonował w dalszym życiu poza jego obszarem. Za wyzwanie najpoważniejsze uznajemy wyzwalanie innowacyjności i kreatywności – tak w badaniach naukowych, bo te są najważniejsze z perspektywy uniwersytetu, jak w działalności, która może się kształtować i rozwijać równoległe z pracą badawczą i pozostawić trwałe kapitały w postaci nie tylko zdobytego doświadczenia i dorobku, ale też nabytych umiejętności społeczno-organizacyjnych. Jak mawiał Artur Koestler, „kreatywność jest procesem uczenia się, w którym nauczyciel i uczeń zlokalizowani są w jednej osobie”. Analogicznie kształtują się poglądy na sytuację doktoranta, o której dyskutowali w modelu studiów trzeciego stopnia uczestnicy Zjazdu Polonistów. Głównym wyzwaniem jest zatem takie poprowadzenie tych studiów, by obejmowały swoim zakresem obydwie bieguny uniwersyteckiej edukacji na trzecim poziomie: rozwijały umiejętność bycia wiecznym, kreatywnym „ucznem” (bo to los naukowca), a zarazem wyzwalaly innowacyjność, samodzielność i odwagę badacza. Także odwagę właśnie, która powinna towarzyszyć naukowym poczynaniom i dawać motywację do podejmowania problemów, a także szukania metod ich eksplikacji, które są nowatorskie i mogą stanowić ryzyko. Wiedzą o nim naukowcy, wiedział o nim Albert Einstein, gdy mówił: „Gdybym wiedział, co robię, to przecież by nie była praca badawcza”...

Poza najistotniejszymi głosami na temat wyzwalania innowacyjności i mobilności w badaniach naukowych doktorantów, o premiowaniu oryginalności i uczciwości interpretacji zagadnień, które stają w centrum powstających podczas studiów dysertacji, do czego powinno się mobilizować i ku czemu formować, mówiono wiele na temat ram instytucjonalno-prawnych tego etapu kształcenia, o stosunku stanowionego prawa do indywidualnych za-

chowań, oczekiwań, reakcji. To kwestia szalenie istotna, bo w szerszym wymiarze przekłada się przecież na problem wolności w nauce, a ta może być ograniczana przez uzależnianie wyborów i rozwoju od aktów prawnych, instytucjonalizacji badań, rygoryzowania awansów (co podczas studiów przekładałoby się np. na zaliczanie rozbudowanych siatek zajęć, dostosowywanych do wymogów punktów ECTS, na stypendia uznaniowe). Regulacje programów studiów doktoranckich są wszak efektem nie tylko myślenia o tym, co powinno się w nich zaferować doktorantom, ale i dostosowywaniem układu przedmiotów, godzin zajęciowych do wymogów ustawowych i bolońskich, a także nieustannym manewrowaniem pomiędzy postrzeganymi potrzebami a możliwościami ekonomicznymi uczelni – nie jest tajemnicą, że godziny zajęciowe kosztują, zaś budżety są ograniczone. Miewa się wrażenie, że „bolonizacja” dąży do uregulowania wszystkiego, że urzędnicy nie spoczną, póki nie będzie wiadomo dokładnie – z potwierdzeniem na papierze – co, jak i kiedy robić. Tymczasem jakość i tempo badań, a także jakaś część stosunków między ludźmi, w tym relacje mistrz-uczeń, profesor-doktorant z trudem się takim uregulowaniom poddają i może byłoby źle, gdyby się poddały do końca. Powiem więc mocno, nieco wyostrażając, że w duchu dyskusji i to zagadnienie nas zajmowało: problem instytucjonalnego fałszu i pytania, co ten fałsz robi z nami, uczestnikami bolońskiego procesu. A wynika choćby z konieczności sprostania sformalizowanym wymogom albo z gry pozorów, do których bywamy zmuszani, by w dokumentach wszystko się zgadzało, było przeliczalne na odpowiednie punkty w parametryzacji, a nie niwelowało miejsca i czasu na indywidualny rozwój czy zawirowania np. w przebiegu studiów, czasie realizacji badań, w dojrzewaniu naukowym i budowaniu rzeczywistego, ludzkiego i intelektualnego porozumienia pomiędzy opiekunami naukowymi a doktorantami, bo tak tylko może efektywnie rozwijać się współpraca naukowa. Zatem mówiono i o tym, jak zachować starą, dobrą relację mistrz-uczeń – i jak z uczestnika studiów trzeciego stopnia nie uczynić jedynie studenta zaliczającego w terminie obowiązujące przedmioty, zdobywającego sprawnie punkty do stypendiów naukowych (za czym nie zawsze stoi jakość merytoryczna, innowacyjna badań), a na końcu studiów terminowo broniącego pracę. Bo doktorat nie powinien wszak być rozszerzonym w rozmiarach magisterium, studia trzeciego stopnia muszą jednak zmierzać do rozwijania indywidualności intelektualnych i wyżej je cenić niż biurokratyczne zalecenia „krajowych ram kształcenia”.

PS: *Zdaniem Pani Profesor, na jakie aspekty kształcenia doktorantów należałoby obecnie położyć nacisk?*

D.O.-W.: Wbrew pozorom, nie jest to pytanie łatwe. Zwłaszcza wtedy okazuje się nieproste, jeśli położymy w nim nacisk na „obecnie” – bo sugeruje, i słusznie poniekąd, że dzisiejsze funkcjonowanie w nauce, w uniwersytecie, a także poza nim (wszak przeważająca liczba uczestników studiów trzeciego stopnia nie znajdzie, zapewne, stałego zatrudnienia na uniwersytetach) mocno się zmienia. Do niedawna jeszcze powszechny stereotyp badacza, jako nieco oderwanego od dynamicznej (w tym: rynkowej) rzeczywistości erudyty, intelektualisty skupionego na swoich badaniach (także zespołowych), do którego należy niemal wyłącznie działanie twórcze wraz z umiejętnościami dydaktycznymi, by mógł rozwijać intelektualnie studentów i współpracowników – dziś mocno ewoluuje. Zacisze gabinetu bywa częściej wyteśkioną arkadią niż realnym, codziennym miejscem skupienia i pracy. Pracownik naukowy, naukowo-dydaktyczny, ma nie tylko prowadzić badania i kształcić młodą kadre, bo od kiedy jego praca została mocniej niż kiedykolwiek uzależniona od finansowania tychże badań, musi także pozyskiwać na nie środki, zabiegać o popularyzację, intensywniej niż dotąd funkcjonować na „rynku nauki”, także poprzez udział w dużych, międzyuczelnianych i międzynarodowych projektach, podróżować naukowo, korzystać ze światowych baz danych, silniej niż w latach nie tak dawnych mieć kontakt z badaniami rozwijającymi się poza granicami kraju. Oczekuje się od naukowca, by był nie tylko jak najlepszym i wydajnym badaczem w swojej dziedzinie, ale też człowiekiem dynamicznym, mobilnym, który choćby na użytek własnych poczynań zawodowych oraz sprawnego kierowania zespołami powoływany dla konkretnych projektów zarazem staje się poniekąd menadżerem nauki, potrafiącym zdobyć fundusze, sfinalizować w terminie badania, efektownie je zaprezentować, podnieść wyniki parametryzacyjnego wyścigu uczelni, liczyć się z koniecznością poszukiwania kontraktu zawodowego poza macierzystą instytucją, być może także poza granicami kraju itd. To nie utyskiwania, zresztą na niewiele by się one zdały, skoro tak właśnie działa obecnie – i będzie działał – rynek nauki, nie oferując komfortu stabilności, która podobno rozleniwiała. Reasumując ten wątek: obecnie kształcenie doktorantów na studiach trzeciego stopnia powinno obejmować także te aspekty, które wykraczają poza *stricte* erudycyjne sprawności związane np. z metodologiami, problematyką dysertacji doktorskich, umiejętnością budowania wyводу naukowego. Żeby odpowiedzialnie przygotować doktorantów do funkcjonowania we współczesnej nauce czy szerzej – na rynku pracy związanym z ich dziedzinami – powinno się dać im także pojęcie o konstruowaniu skutecznych wniosków grantowych, organizowaniu przedsię-

wzięć konferencyjnych i kongresowych, poruszaniu się po zagranicznych ośrodkach naukowych, nie tylko w zakresie zdobywania materiałów bibliograficznych, umiejętnościach pracy w zespołach interdyscyplinarnych itp. Zatem odpowiedź na pytanie o nacisk na dzisiejsze aspekty kształcenia na studiach trzeciego stopnia jest też pytaniem o priorytety i o sprawności pozadziejzinowe. Dla mnie priorytetową sprawą jest na tych studiach nauka, wykształcenie czy doskonalenie umiejętności badawczych, budowanie odpowiedzialności za szeroko pojmowaną uniwersyteckość, którą rozumiem m.in. jako pewien – dodam: wysoki – format człowieka, o wykrystalizowanej uczciwości nie tylko badawczej, o zdolności krytycznego osądu, prawdziwej odpowiedzialności tak za własną dziedzinę pracy, jak za funkcjonowanie poza nią, w rzeczywistości po prostu, a także jako człowieka kreatywnego, oryginalnie myślącego, rozwijającego się, poszukującego innowacyjnych interpretacji. Jeśli zatem miałabym najkrócej już odpowiedzieć, na jakie aspekty kształcenia podczas studiów trzeciego stopnia chciałabym położyć nacisk, to byłoby to budowanie świadomości badacza, rozbudzanie kreatywności naukowej, kształtowanie postaw uniwersyteckich. Na te aspekty kształcenia jest niezwykle mało miejsca i czasu podczas studiów licencjackich i magisterskich. Tym usilniej powinny, jak mi się zdaje, wypracowywać je studia doktoranckie, skoro w nich leży i przyszłość, i ciągłość formacji akademickiej.

PS: *Jeden z uczestników panelu poświęconego studiom doktoranckim, prof. dr hab. Piotr Wilczek, przedstawił bardzo ciekawy projekt kształcenia doktorantów realizowany w ramach grantu przez Instytut „Artes Liberales”. Czy Pani Profesor widzi możliwość wykorzystania podobnych rozwiązań w ramach regularnych studiów doktoranckich np. na Uniwersytecie Śląskim?*

D.O.-W.: Jeśli znajdą się osoby – zarówno opiekunowie naukowci, którzy następnie przejmą funkcję promotorów, jak doktoranci zainteresowani tego rodzaju pracą – gotowe podjąć się przeprowadzenia tego rodzaju projektu, zdobycia grantu i zdyscyplinowanej, efektywnej pracy w jego ramach, to tak, widzę taką możliwość. Rzecz leży naprawdę głównie w chęciach i mobilności, a potem w dynamice badań naukowych, regularności i sprawności w przebiegu konsultacji i seminariów, żeby mogły one zaowocować zaplanowanymi skutkami naukowymi. To jednak nie jest kwestia instytucjonalnego, odgórnego zalecenia czy programu narzuconego przez kierownika studiów doktoranckich. Musi to wynikać z woli zespołu, który chciałby się ukonstytuować – tzw. władze zwierzchnie mogą w tym tylko pomóc, ale nie wyobrażam sobie, by mogły odgórnice formować tego rodzaju współpracę. A jest ona szalenie rozwijająca i ciekawa, otwiera spore możliwości, uczy

efektywnej wymiany wiedzy i doświadczeń, znakomicie i szeroko kształci. Dodajmy, że wszystkich uczestników projektu, niemal jednakowo profesorów, jak adeptów, bo właśnie polega na wymianie wiedzy interdyscyplinarnej czy też z obszaru różnych rejonów oraz przedmiotów badań w zakresie humanistyki.

PS: *W części obrad poświęconej studiom doktoranckim pojawiły się też – dość liczne – wypowiedzi doktorantów. Zwracali oni uwagę przede wszystkim na trudności, które ogólnie można by określić mianem „socjalno-bytowych”. Czy jest szansa na to, że niektóre ze zgłaszanych przez nich problemów uda się w najbliższym czasie rozwiązać?*

D.O.-W.: Niektóre – z pewnością tak. Muszą się znaleźć np. pieniądze na stypendia dla najbardziej uzdolnionych i najefektywniej pracujących doktorantów, przewidziane zresztą w nowej ustawie o szkolnictwie wyższym choćby z funduszu projakościowego. Znacznie łatwiejszy niż dotąd mają doktoranci na naszym Wydziale dostęp do finansowania swoich przedsięwzięć badawczych, wyjazdów konferencyjnych, kwerend. Nie zdarzyło się w ciągu ostatniego roku – i mam nadzieję, sytuacja się utrzyma – by władze Wydziału odmówiły środków na działalność kół naukowych doktorantów, organizowanych przez nich konferencji i publikacji. To są spore kwoty, być może nie tak postrzegane z perspektywy pojedynczego uczestnika studiów doktoranckich, ale globalnie w istocie naprawdę duże. Oczywiście, że wciąż niewystarczające są wysokości stypendiów socjalnych, regulowanych osobnymi, administracyjnymi przepisami, wobec których nie możemy stosować wyjątków. I ta świadomość, że doktoranci muszą najczęściej pracować, żeby się zwyczajnie utrzymać, naprawdę ciąży. Nie jest tak, że nie szukamy rozwiązań. Co do innych bolączek, o których mówili doktoranci – np. kwestii ubezpieczeń zdrowotnych, zniżek PKP i PKS – wielokrotnie kłopot jest pozorny, bo leży w nieznanomości przepisów i własnych praw po stronie doktorantów. Warto się z nimi zapoznać, nie są wszak tajne – a brak wiedzy o własnych przywilejach skutkuje częstokroć negatywnymi mitami. Jak ten na przykład, że doktorantka nie była pewna, za to przerażona po zakończeniu studiów magisterskich, czy może nadal bezpłatnie korzystać z opieki zdrowotnej – o czym mówiła w dyskusji na Zjeździe...

Sytuacji socjalnej doktorantów daleko do luksusu, a nawet bezpiecznego dobrobytu, to jasne. Jest też tak, że w istocie wiele zależy od nich samych. Wciąż natomiast bardzo niewielu doktorantów orientuje się w możliwościach pozyskiwania grantów, stypendiów zewnątrzuczelnianych, uczestniczenia w gratyfikowanych finansowo projektach. Oczywiście, że to wymaga wysiłku, poszukiwań, uporu, konsekwencji – tak samo, jak każde uczciwe

zdobywanie finansów, gdy nie ma się stałego miejsca zatrudnienia. To prawda, że przeważająca część doktorantów musi pracować zarobkowo poza uniwersytetem, godząc (co jest bardzo, bardzo trudne) te zewnętrzne konieczności zarobkowe z programem studiów, pisaniem doktoratu i jeszcze obowiązkowymi godzinami dydaktycznymi, jakie muszą odbywać w ramach praktyk dydaktycznych. Wiem, czasami graniczy to z cudem, żeby sprostać takim obciążeniom. Wiem też, bo znam takich doktorantów, którzy znakomicie radzą sobie finansowo dzięki pozyskany grantom i stypendiom pozauczelnianym na własne badania. Byłoby sytuacją optymalną, gdyby praca nad dysertacją doktorską i uczestniczenie w studiach doktoranckich było tak stypendionowane w sposób automatyczny, by doktoranci mogli skupić się tylko na jak najpełniejszym rozwoju naukowym oraz ukończeniu w porę i jak najlepiej swoich prac. Tak jednak nie jest – i nie sądzę, by radykalnie i cudownie sytuacja finansowa wydziałów poprawiła się na tyle, żeby stypendia doktoranckie stały się powszechne, satysfakcjonujące materialnie i odciążyły uczestników studiów trzeciego stopnia od samodzielnego poszukiwania środków utrzymania. Tak, jest to ze szkodą dla tempa i jakości badań w wymiarze ogólnym. Zmusza do rozpraszania się, zwielokrotnia wysilek, wydłuża czas powstawania dysertacji. Z drugiej jednak strony, choć to, co powiem, nie zabrzmi populistycznie i nie wywoła zapewne entuzjazmu, częstokroć ów zwielokrotniony i rozdzielany na kilka obszarów wysilek zmusza do dyscypliny i mobilizuje do rytmicznej, efektywnej pracy.

PS: *Pani Profesor wspominała o pomysle realizowanym próbnie w ramach studiów doktoranckich na Uniwersytecie Śląskim, a polegającym na większej integracji doktorantów specjalizujących się w literaturoznawstwie i językoznawstwie. Na czym polega podstawowa trudność w realizowaniu tego pomysłu? Czy będzie Pani Profesor chciała powrócić do niego w przyszłości?*

D.O.-W.: Mówiłam nie tyle o pomysle odgórnej integracji literaturoznawców i językoznawców na studiach trzeciego stopnia, co o wprowadzonym na dwa lata pomysle siatki tych studiów, który jednak spotkał się z oporem doktorantów i opiniami o jej małej skuteczności dla własnych dysertacji. Zakładałam, że studia doktoranckie są na tyle poważnym i znaczącym etapem kształcenia humanisty i jego rozwoju, że ich absolwent powinien mieć orientację w bliskich sobie dziedzinach humanistyki. Także dlatego, że w finale uzyskuje dyplom doktora nauk humanistycznych, oczywiście z zaznaczeniem dyscypliny (np. w zakresie: literaturoznawstwo, językoznawstwo, kulturoznawstwo, bibliologia i informatologia). Dlatego zaproponowałam w siatce studiów po 20 godzin obowiązkowego kursu, dla wszystkich dyscy-

plin, z przedmiotów: nowe kierunki w literaturoznawstwie, w językoznawstwie, antropologia kultury. Sama chciałabym być tak kształcona na studiach doktoranckich, żeby nie tylko mieć pojęcie o tym, co dzieje się w dyscyplinie pokrewnej, ale i móc wykorzystać (być może) jej aparaturę badawczą czy inspiracje do własnej dysertacji. Jestem literaturoznawcą, a ukończyłam na studiach magisterskich specjalizację językoznawczą i mam poczucie, że sporo mi dała wiedza na niej uzyskana – choćby dla samej, poszerzonej świadomości humanistycznej. Nasze studia doktoranckie są zaprogramowane dla czterech dyscyplin (literaturoznawstwo, językoznawstwo – polonistyczne i neofilologiczne, kulturoznawstwo oraz bibliologia i informatologia). Zakładałam, że rozwijający się w ich ramach uczestnicy mogą skorzystać erudycyjnie i intelektualnie w kontakcie wykładowym ze specjalistami kilku dziedzin, że uczestnikowi studiów doktoranckich wydział powinien zagwarantować orientację, daną siatką zajęć, w pobliskich, prężnie rozwijających się dyscyplinach. Pomysł się nie sprawdził. Nie chciałam firmować fikcji i udawać, że nie wiem, iż zaliczanie tych zajęć odbywa się bez – nazwijmy to eufemistycznie – aktywności i frekwencji doktorantów. Obecna siatka przewiduje zatem na drugim roku studiów antropologię dla kulturoznawców tylko, nowe kierunki w językoznawstwie – dla językoznawców, nowe kierunki w literaturoznawstwie – dla literaturoznawców. Tak jest uczciwiej, zapewne, bo instytucjonalnie nie zwielokrotniamy zafalszowania. Zresztą siatka na przyszły rok będzie nowa, dostosowana do wymogów nowej Ustawy, z punktacją ECTS i większą swobodą wyboru przedmiotów.

PS: *Bardzo dziękujemy za rozmowę.*